

Pierwszy
DZIEŃ
po śmierci

João César das Neves



Pierwszy
DZIEŃ
po śmierci

Przekład Ewa Łukaszyk

Tytuł oryginału: *Crónicas do Céu. O Primeiro Dia*

© 2003, by Lucerna an imprint of PRINCIPIA –
Publicações Universitárias e Científicas, Lda

All questions concerning rights to translate, reproduce
or adapt for any language must be addressed to Principia –
Publicações Universitárias e Científicas, Av. Marques Leal,
21 – 2º 2765-495 S. João do Estoril – Portugal,
www.principia.pt, publisher of the original title.

© Wydawnictwo WAM, 2016

Wydanie trzecie

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Redakcja: Krzysztof Bernas
Korekta: Dariusz Godoś, Klaudia Adamus
Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Zdjęcie na okładce: © Stokkete/shutterstock
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-0655-3

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA

tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

Druk:

Dla Hiacynty i Franciszka z wielką wdzięcznością.
Rita?! Do zobaczenia wkrótce! Dawidzie, wróć szybko!

*Obyście usłyszeli dzisiaj głos Jego:
Nie zatwardzajcie serc waszych.*

Ps 95,7–8

Z głębi serca dziękuję Luísie, Dawidowi, Ricardowi,
księdzu João i księdzu Ramirowi, którzy towarzyszyli mi
w tej przygodzie, czytając wstępne wersje książki.
Cenne komentarze, których mi udzielili, w wielkim stopniu
wpłynęły na jej ostateczny kształt. Ale odpowiedzialność
za tę przygodę spada w całości na mnie.

I

WINDA

Umarłem dziś rano. Zaraz po śmierci znalazłem się, w płaszczu i z teczką, w czymś w rodzaju windy. Uznałem najpierw, że to był dobry znak, bo winda zwykle jedzie w górę. Ale w tej samej chwili pomyślałem, że przecież równie dobrze może jechać w dół. I wtedy przypomniałem sobie, że zanim ruszę w górę lub w dół, powinienem zostać osądzony. A zatem była to tylko winda, która wiozła mnie przed oblicze trybunału.

Światło

Tym, co najbardziej mnie uderzyło, było światło. Było na tyle osobowe, że należało je z pewnością nazwać Światłem. Winda była tak dobrze oświetlona, tak przesycona Światłem, że z trudem mogłem patrzeć. Musiałem przetrzeć oczy, żeby przyzwyczaić się do blasku, który początkowo zupełnie mnie oślepiał. Dopiero wtedy zauważyłem, że winda nie miała okien, nie znajdowała się tam też żadna lampa ani inny rodzaj oświetlenia. Niezwykła jasność wydobywała się bezpośrednio ze ścian, a przede wszystkim z sufitu. Ale nie dostrzegłem źródła blasku, jakby Światło wnikało do wnętrza z zewnątrz. Ściany nie były przezroczyste, a mimo to nie stanowiły dla Światła żadnej przeszkody. Stopniowo zacząłem szerzej otwierać oczy i przyzwyczajając się do blasku.

Pierwszym przeżyciem świadomości – oprócz pewności, że umarłem – była myśl o modlitwie. Musiałem prosić o pomoc, powierzyć siebie Bogu. W ciągu życia modliłem się wiele razy,

w różnych okolicznościach. Zazwyczaj po to, aby zyskać wsparcie, ale także po to, aby podziękować Bogu i Go chwalać. Również umarłem, nie przestając się modlić. W tym przełomowym momencie powinienem zrobić to samo – modlić się, prosić i dziękować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałem pomocy Jezusa Chrystusa, Jego Przenajświętszej Matki i moich świętych patronów. Włożyłem rękę do kieszeni i znalazłem różaniec. Znajdował się tam, gdzie schowałem go przed śmiercią. Wyjąłem go i zacząłem przesuwając paciorki.

Wtedy zauważyłem, że w tym miejscu modlitwa jest czymś tak naturalnym jak oddychanie na ziemi. Obecność Światła sprawiała, że modlenie się stawało się bardzo proste i nie wymagało wysiłku. Modliłem się więc bez ustanku, bez rozpraszania się, nawet kiedy inne myśli przychodziły mi do głowy. Paciorki przesuwały się między moimi palcami w sposób zupełnie naturalny. Wszystko, czego dokonałem w tym miejscu, działo się podczas modlitwy. Czasem wręcz zapominałem o tym, że nadal to robię. Tutaj modlić się oznaczało oddychać.

Co do tego, że umarłem, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Śmierć była dla mnie szokiem, ale teraz miałem wrażenie, jakbym się powolutku z tego szoku budził. Z każdą chwilą coraz bardziej przywykałem do rzeczywistości śmierci i do tego, że właśnie w niej się znajduję. Umarłem. Wiedziałem to, ale jeszcze czułem się żywy.

Było to zresztą jedyne fizyczne wrażenie, jakie odczuwałem. Nic mnie nie bolało, ale nie czułem, że jestem martwy. Jakby nic się nie stało, oprócz tego, że znalazłem się zupełnie sam w tej windzie.

Wtedy przypomniałem sobie o mojej rodzinie, o żonie i o dzieciach, których zostawiłem kilka minut temu. Ale to wspomnienie było bardzo trudne do zniesienia i powoli się rozwiało. Jadąc windą, oddalałem się w jakiś sposób od swojego ziemskiego życia. A nawet od swojej śmierci. Trudno mi było przypomnieć sobie moment agonii. Im bardziej przyzwyczajałem się do myśli, że nie żyję, tym więcej szczegółów mojego życia mi umykało. Coś nie pozwalało

mi powrócić na ziemię, nawet w myślach. Żyłem teraz w nowym świecie, różniącym się od tego, z którego przybyłem. Naraz poczułem się bardzo samotny. Modlitwa tylko częściowo mnie od tego uwalniała.

Niektóre rzeczy z przeszłości widziałem jednak zupełnie jasno. Moje wcześniejsze życie dostrzegałem w dziwnej formie. Pamiętałem nie tyle to, co robiłem, ile to, czego pragnąłem. Na przykład trudno mi było określić szczegóły wydarzeń, które mnie naznaczyły i o których kiedyś sądziłem, że są bardzo ważne, ale przypominałem sobie doskonale plany, jakie snułem, nawet te nigdy niezrealizowane. Miejsca, okoliczności zdarzeń i twarze ludzi prawie się zatarty. Nie pamiętałem już, jak wyglądały moja żona i dzieci, ale czułem – niemal namacalnie – całą miłość, jaką do nich żywiłem.

Bliźni

Nagle obok mnie coś się poruszyło i dopiero wówczas zauważyłem, że nie jestem sam. Przyzwyczajając się coraz bardziej do Światła, zacząłem zdawać sobie sprawę z obecności współtowarzyszy w śmierci. Winda okazała się całkiem spora, a oprócz mnie znajdowało się w niej chyba ze dwadzieścia osób. Przedtem zbyt byłem zajęty sobą i nie dostrzegłem tych wszystkich ludzi. W tym miejscu i po śmierci zmysły nie działają tak samo dobrze jak za życia. Widziałem i czułem rzeczy, z których wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, miałem za to trudności z postrzeganiem tego, co uznawałem za oczywiste.

Zainteresowałem się otaczającymi mnie osobami. Wszyscy milczeli, bardzo poważni, pogrążeni we własnych myślach. Mniej więcej tak jak ja do tej chwili. Zauważyłem mężczyzn i kobiety w różnym wieku, nawet kilkoro dzieci, najwięcej jednak było osób starszych. Wszyscy mieli na sobie płaszcze lub inne okrycia i taszczyli jakiś bagaż. Nic w ich wyglądzie nie zdradzało, że zmarli.

Najbardziej rzucały się w oczy dziwne, krwistoczerwone znaki w kształcie krzyża, które wiele osób miało na czołach. Wyglądały jak małe ranki, ale chyba nie bolały, bo ludzie zupełnie nie zwracali na nie uwagi. Większość miała krzyże z promieniami rozchodzącymi się liniami, ale na głowach pary stojącej po mojej prawej stronie znajdowały się inne symbole. Z kolei staruszek, który podobnie jak ja modlił się na różańcu, miał znak krzyża z promieniami otoczony okręgiem, a towarzysząca mu dziewczynka, którą trzymał za rękę, sam krzyż, bez promieni.

Wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem, że to, co widzę, to nie ciała, ale dusze. Oczywiście! Po śmierci, a przed sądem ostatecznym i zmartwychwstaniem ciała, nie mogło być inaczej. Nic dziwnego, że reagowałem tak dziwacznie. W końcu teraz posługiwałem się innymi zmysłami, nie tymi, których używałem przez całe życie.

Miguel

Ten starszy człowiek z dziwnym znakiem stał pod samą ścianą windy i dlatego był bardzo jasno oświetlony przez wydobywający się z niej blask, w przeciwieństwie do innych osób znajdujących się dalej, a także dziewczynki stojącej w jego cieniu. Zdałem sobie sprawę, że Światło miało bardzo dziwne właściwości. Chyba właśnie przez nie miałem wrażenie, że bardzo dobrze znam tego człowieka, chociaż nigdy wcześniej go nie spotkałem.

Przyjrzałem mu się uważnie i wiedziałem, że ma na imię Miguel. Nie wiem skąd, po prostu zacząłem mieć pewność, że tak jest. Poznałem także historię jego życia.

Pochodził z zamożnej rodziny mieszkającej w jednym z krajów Ameryki Południowej (nie wiem dokładnie w którym, bo niektóre szczegóły mi umykały). Miał spokojne i szczęśliwe dzieciństwo, a potem, ponieważ był inteligentny i przystojny, stał się bardzo popularnym nastolatkiem. Miał dziewczynę i myślał o karierze inżyniera.

Wszystko się zmieniło, gdy wybierając się pewnego dnia na eleganckie przyjęcie, spotkał w bramie żebrzącą dziewczynkę w łachmanach. Był to codzienny widok na ulicach jego miasta, ale to, na co wcześniej w ogóle nie zważał, tym razem wywołało w nim coś w rodzaju szoku. Poczuł się osobiście odpowiedzialny za nędzę niektórych mieszkańców, która wydała mu się w tej chwili nie do zniesienia. Na przyjęciu nie bawił się dobrze i wcześniej wrócił do domu. Następnego ranka postanowił radykalnie zmienić swoje życie.

Przyłączył się do ruchu rewolucyjnego i zaczął brać udział w akcjach zmierzających do zmiany niesprawiedliwego i opartego na ucisku ustroju społecznego. Znienawidził wszystko to, co dotąd się dla niego liczyło. Chodził na manifestacje, uczestniczył w kampaniach i protestach, a nawet angażował się w poważniejsze akcje. Po kilku miesiącach rozstał się ze swoją dziewczyną, porzucił uniwersytet i zerwał kontakty z rodzicami, którzy nie chcieli go po tym wszystkim znać. Ponieważ był inteligentny, przystojny i miał charyzmę, szybko stał się w organizacji kimś ważnym. Miał wykształcenie, którego nie zdobyłby bez pomocy rodziny, został więc wybrany na rzecznika i pośredniczył w wielu kontaktach ruchu z zagranicą.

Wszystko to zmieniło się pewnego dnia, gdy udając się na zebranie działaczy ruchu rewolucyjnego, znowu zobaczył brudną i obdartą dziewczynkę proszącą o jałmużnę. Być może nawet była to ta sama, którą spotkał niegdyś w bramie, tylko trochę starsza, z pewnością wyglądała równie nędznie. Miguel znów doznał szoku, tym razem jeszcze boleśniejszego. Po raz kolejny miał wrażenie, że to on jest odpowiedzialny za biedę, a dodatkowo zrozumiał bezsens dotychczasowych działań. Co jego wysiłki, a nawet cały ruch rewolucyjny, mogły zrobić dla tej dziewczynki? Na zebraniu nie czuł się dobrze i wcześniej wrócił do domu. Następnego dnia rano postanowił radykalnie zmienić swoje życie.

Porzucił ruch rewolucyjny, wstąpił do szkoły pielęgniarskiej i przez kilka lat uczył się jak szalony, jednocześnie pracując, aby się

utrzymać i opłacić naukę. Zastanawiał się, czy nie zostać lekarzem, ale nie miał na to ani pieniędzy, ani czasu. Kiedy skończył szkołę, opuścił rodzinne miasto i udał się do najbiedniejszej części kraju, aby pomagać najbardziej brudnym i obdartym dziewczynom swoich czasów.

W tym regionie pracował tylko jeden lekarz, mężczyzna w podeszłym już wieku. Od lat pomagał tysiącom biednych wieśniaków i był na skraju wytrzymałości. Miguel zaoferował mu swoją młodość i entuzjazm. Dokonywał prawdziwych cudów. Szybko zaczęli się zjeżdżać ludzie z odległych rejonów, aby się u niego leczyć, gdyż przyciągała ich postać sympatycznego, młodego pielęgniarza. Miguel był przecież inteligentny, przystojny i miał charyzmę, wszystkim bardzo się podobał.

Dzięki wiedzy i doświadczeniu, jakie zdobył w ruchu rewolucyjnym, pomagał wieśniakom zadbać o ich prawa. Razem pisali petycje do rządu w różnych sprawach. Zaczęli od starań o porządną lecznicę. Wkrótce Miguel, mając poparcie mieszkańców, prowadził negocjacje z lokalnymi władzami nie tylko w sprawie ochrony zdrowia, ale i w innych dziedzinach.

Wszystko się zmieniło, gdy idąc do nowego ośrodka na spotkanie w sprawie edukacji zdrowotnej, zobaczył w bramie dziewczynkę. Była czysta i ładnie ubrana, ale płakała. Znali się, gdyż leczył ją na gruźlicę. Kiedy ją badał, zauważył na ciele ślady po uderzeniach, jakie dostała w domu. Miguel odczuł jeszcze raz tamten szok, o którym dawno zapomniał po osiągnięciu tylu sukcesów. Poczuł brzemień odpowiedzialności za tę małą i jednocześnie zrozumiał, jak miałkie były wszystkie jego dotychczasowe wysiłki. Co mógł zrobić dla tej dziewczynki? Nie mógł się skupić podczas sesji w ośrodku i wcześniej wrócił do domu. Następnego dnia rano postanowił radykalnie zmienić swoje życie.

Wszedł na pobliskie wzgórze i skierował się w stronę klasztoru franciszkanów. Od dawna przyjaźnił się z zakonnikami, gdyż w klasztorze udzielał pomocy chorym z okolicznych wiosek. Ale

tym razem szedł tam w innej sprawie: chciał wstąpić do zakonu. Przygotowywał się pilnie przez kilka lat, jednocześnie pracując we wspólnocie. Pobożny, miły i zaangażowany, szybko zyskał uznanie współbraci. Jedną z jego największych radości było to, że starzy rodzice, których nie widział od czasu, gdy opuścił dom, przybyli na uroczystość złożenia pierwszych ślubów zakonnych.

Wiedza, jaką zdobył w ruchu rewolucyjnym i w pracy w ośrodku zdrowia, przydała mu się i w życiu zakonnym, i w organizowaniu pomocy dla okolicznej ludności. Miguel nigdy nie przestał być pielęgniarzem ubogich ani uczestniczyć w negocjacjach wieśniaków z lokalnymi władzami. Nawet wtedy, gdy już w podeszłym wieku i po przyjęciu święceń kapłańskich został przeorem swojego klasztoru.

Zakończył życie dziś rano w zamachu bombowym, kiedy ruch rewolucyjny podłożył ładunki w siedzibie urzędu. Stary brat Miguel poszedł do miasta wraz z grupką dzieci z wiosek na wzgórzu. Po raz pierwszy w życiu miały być w kinie. Chciał przy okazji doręczyć kolejną petycję swoich parafian. W zamachu zginął tylko on i Consuelo, dziewczynka, którą ochrzcił kilka lat wcześniej. Schodzili razem głównymi schodami, trzymając się za ręce, kiedy wybuchła bomba. Dziewczynka była czysta, ładnie ubrana i uśmiechnięta. W windzie wciąż jeszcze się uśmiechała.

To wszystko wyjawilo mi Światło padające na Miguela.

Zauważyłem wówczas, że niektórzy z moich współtowarzyszy zaczęli tak jak ja rozglądać się wokół siebie. Pewnie podobnie jak mnie przechodził im szok po śmierci, nad którym brała górę nienasycona ludzka ciekawość. Ten świat w końcu nie różnił się aż tak bardzo od tamtego. Uwaga otaczających mnie osób koncentrowała się naturalnie na bardzo grubej damie otoczonej licznymi walizkami.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że wiele ze znajdujących się tu osób miało większy bagaż. Plecaki, walizki, worki, skrzynie – dźwigali mnóstwo ciężarów. Ktoś nawet pchał przed sobą ogromny wózek podobny do tych, jakie widuje się na lotniskach i stacjach kolejowych, na którym piętrzył się ogromny stos. Chyba nie wiedzieli, dokąd jadą! Jak niby zamierzali wsiąść z tym do pociągu?

Życie

Tymczasem ja miałem tylko swoją teczkę i nawet się trochę zaniepokoiłem, że mam tylko tyle. Nie zabrałem żadnego bagażu w taką podróż. Oczywiście w teczce nie było odzieży, szczoteczki do zębów ani innych podstawowych rzeczy potrzebnych poza domem. Zacząłem szukać po kieszeniach portfela, aby się przekonać, czy mam chociaż pieniądze, by kupić niezbędne rzeczy. Portfela też nie było.

I wtedy zacząłem się serdecznie śmiać z samego siebie. Jaka niby waluta obowiązywała w zaświatach? Po śmierci pewnie nie było łatwo posługiwać się ziemskimi środkami płatniczymi. Stwierdziłem, że najlepiej będzie poczekać i zobaczyć, co się stanie. Zapewne nie potrzebowałem już rzeczy z tamtego świata. Czy też, należało teraz powiedzieć: rzeczy „nie z tego świata”.

Nagle usłyszałem łkanie. To gruba dama cicho pochlipywała. Ponieważ stała tuż obok mnie, postanowiłem ją jakoś pocieszyć. Powiedziałem, żeby się nie martwiła, bo zapewne czeka na nas lepszy świat.

Popatrzyła na mnie z irytacją i odrzekła:

– Uważa pan, że nie mam powodu do płaczu? Umrzeć tak młodo, mając jeszcze tyle życia przed sobą, to nie jest wystarczający powód? A mój mąż, który pewnie już romansuje z sąsiadką? Jak oni się muszą świetnie bawić, gdy mnie nie ma! Ale jeszcze pożałują! W końcu też tu trafią, spokojnie sobie poczekam. A pewnie! Pożałują, nie ma co! Wszystko przez tego głupiego lekarza – ciągnęła dalej. – Tłumaczyłam mu, że parę kielbasek mi nie zaszkodzi.

W końcu minął już tydzień od operacji. A potem mówił, że to moja wina. Pewnie spartaczył operację, a wszystko zwała na mnie! Lekarze to krwiopijcy, interesują ich tylko pieniądze! Nie wiadomo, jak się to wszystko skończy. Jestem jego ofiarą!

Ta sytuacja bardzo mnie rozbawiła. Kobieta właśnie umarła, a wciąż martwiła się sprawami z dawnego życia, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Miałem zamiar powiedzieć jej, że nie warto się tym przejmować, bo wszystko się zmieniło. Tamten świat umarł.

Takie spojrzenie na sprawę wydało mi się interesujące. Rzeczywiście, z punktu widzenia tych, którzy widzieli naszą śmierć, to my umieraliśmy, ale równie dobrze zmarły mógł powiedzieć, że to świat i wszyscy inni umarli. Przypomniałem sobie wtedy o licznych świętych, którzy to właśnie mówili. Tak jak młody święty Ludwik Gonzaga¹. W ostatnim liście do matki napisał: „Twój list zastał mnie jeszcze żywym w krainie umarłych; ale teraz mam nadzieję, że wkrótce pójdę wiecznie chwalić Boga w krainie żywych”. My właśnie dojeżdżaliśmy, tak jak wtedy św. Ludwik, do ziemi żywych. Cóż ziemia umarłych, tamta ziemia, na której się umierało, mogła obchodzić tych, którzy dotarli do krainy niekończącego się życia?

W tym momencie to, co wypełniało moje dawne życie, wydało mi się równie mało znaczące jak głupstwa zajmujące moją sąsiadkę. Jak mało istotne są nasze doczesne, miałkie egzystencje, wypełnione tysiącem projektów, tysiącem obaw, tysiącem pragnień. Dlaczego zadręczamy się tyloma sprawami? „Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba <mało albo> tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona” (Łk 10,41–42). W końcu zrozumiałem to zdanie. Co nas obchodziła reszta?

Rzeczywiście, pozbawiono mnie tu wszystkich rzeczy. Ale te rzeczy, dawniej tak ważne, wydawały mi się teraz zupełnie zbędne! Wystarczyły mi płaszcz i teczka. Miałem ochotę wrócić na ziemię i głosić wszystkim, że tylko jedna rzecz jest potrzebna i że czas, kiedy nie żyjemy dla Boga, jest czasem straconym. Niczego

innego nie możemy zabrać ze sobą. Z perspektywy śmierci życie okazywało się takie głupie.

* * *

Straciłem wszystko. Pozostała mi tylko ta mała teczka i ciekawiło mnie, co zawiera. Gdy podniosłem ją z ziemi, zauważyłem, że nie działały tu prawa fizyki. Kiedy wyciągnąłem ręce do przodu, nie uderzyłem osoby stojącej przede mną. Przestrzeń wokół mnie niejako się rozciągnęła, poszerzyła, jakby była elastyczna, co pozwoliło mi na wykonanie zamierzonych gestów bez przeszkadzania innym. Pewnie długo potrwa, zanim całkowicie przyzwyczaję się do tego świata po śmierci!

„Długo”. „To potrwa długo”. To, co właśnie pomyślałem, też mnie zaskoczyło. Rzeczywiście, czas dalej płynął, dokładnie tak jak na ziemi. Nie ruszałem się przez chwilę, żeby to sprawdzić. I okazało się, że mam rację. A zatem nie dotarłem jeszcze do wieczności. Tam, jak już wiedziałem, nie ma czasu i nie istnieją zdarzenia, a myśli nie następują po sobie tak jak w zwykłym świecie.

Tutaj czas biegnie zupełnie tak samo jak na ziemi. Albo przynajmniej tak to odczuwałem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazał się elastyczny, podobnie jak przestrzeń.

Skarb

Gdy otworzyłem w końcu teczkę, okazało się, że miałem w niej książki. A to dopiero! I to nie jakieś przypadkowe tomiszczka, ale moje ulubione lektury! Zupełnie jakbym sam spakował bagaż na tę podróż. Na samym wierzchu znajdowało się oczywiście Pismo Święte, a tuż pod nim *Summa teologiczna* św. Tomasza z Akwinu². Moja ukochana *Summa*!

Zauważyłem przy tej okazji, że od kiedy umarłem, stałem się bardziej sentymentalny i wzruszałem się rzeczami, które kiedyś

w ogóle by mnie nie obeszły. Na widok *Summy* omal się nie rozpląkałem. Te książki dały mi ogromne wsparcie. Sprawily, że znowu poczułem się jak w domu. Już nie czułem się sam wśród obcych.

Trzeba podkreślić, że teczka również nie podlegała prawom fizyki. Tyle książek, ile znalazłem w środku, nie mogło się w niej pomieścić. Były tam dzieła Homera, Wergiliusza, Gila Vicentego³, a także Szekspira. Już sobie wyobrażałem, jak przyjemnie będzie je czytać w kolejne noce, kiedy nikt mi nie będzie przeszkadzał. Przez całe życie wyznawałem ideał Cycerona: „Si apud bibliothecam hortulum habes, nihil deerit”⁴. Zrozumiałem, że właśnie to czekało na mnie w Raju. Wieczność zapowiadała się po prostu cudownie!

Zdziwiło mnie, że w teczce nie znalazłem książek z zakresu historii i nauk przyrodniczych, które tak często czytywałem. Przede wszystkim nie było książek z ekonomii, choć przecież jestem – czy raczej byłem – ekonomistą, profesorem i badaczem ekonomii. Prawdę mówiąc, pasjonowałem się historią, literaturą, filozofią, a przede wszystkim teologią, ale ekonomia zawsze znajdowała się w centrum moich zainteresowań.

Zestaw był więc dość zaskakujący. Musiało to wynikać z natury tego świata. Na przykład z całego Pascala⁵, którego uwielbiałem, doszukałem się tylko dzieł filozoficznych; brakowało wszystkich jego książek z zakresu matematyki i fizyki. Wyciągnąłem z tego wniosek, że te książki nie były użyteczne po śmierci. W zaświatach nauki przyrodnicze, historia i ekonomia nie mogły mieć żadnego znaczenia. Również powieści zapakowano mi niewiele i brakowało kilku moich ulubionych, może dlatego, że były zbyt ludzkie, doczesne, ziemskie. Dominowały poezja, teologia i filozofia. Nie postarano się natomiast o dokumenty papieskie i inne teksty kościelne. Znalazłem tylko *Katechizm Kościoła katolickiego* opublikowany za pontyfikatu Jana Pawła II, a także niektóre z najwartościowszych tekstów tego papieża. Ogromną radość sprawiły mi za to książki o sztuce z reprodukcjami dzieł moich ulubionych artystów – Michała Anioła, Dürera, Magritte’a, Eschera. Wszystkie egzemplarze były

nowe i świeże, jakby dopiero co je kupiono. Pomyślałem, że może to są dusze książek (uśmiechnąłem się do siebie przy tej refleksji).

Pod książkami znalazłem coś, na widok czego westchnąłem z ulgą: kilka płyt. Wieczność miała więc rozbrzmiewać dźwiękami chorału gregoriańskiego, Bacha, Beethovena, Haendla i innych kompozytorów. Czułem się wspaniale!

Przy przeszukiwaniu teczki zauważyłem, że na wewnętrznej stronie pokrywy znajdowały się złote literki. Były tak małe, że trudno mi było je odczytać, zwłaszcza że teczka znalazła się w cieniu. Po kilku próbach udało mi się ustawić ją tak, aby promień Światła padł na błyszczący napis, który głosił: „Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” (Mt 6,21; Łk 12,34).

Pomyślałem, że muszę odszukać pewną książkę, która powinna tu być. Przejrzałem dwukrotnie wszystkie tomy, ale niestety nie znalazłem *Filotei, czyli drogi do życia pobożnego* św. Franciszka Salezego⁶, która wiernie towarzyszyła mi przez całe życie. Pozostało wyciągnąć z tego wniosek, że nawet to dzieło, tak pożyteczne w życiu, było zbędne w miejscu, do którego zmierzałem. Książka zawierała wiele światłych rad przydatnych na ziemi, ale nie dotyczyły one tego, co miało miejsce po śmierci.

W teczce natrafiłem na tylko jedną książkę, której wcześniej nie znałem. Miała tytuł *Przewodnik turystyczny po zaświatach* i składała się z trzech tomów. Ta na pewno bardzo mi się przyda, pomyślałem, a kiedy ją otworzyłem, zacząłem się śmiać. To była *Boska komedia* Dantego. Trzy części oprawiono osobno w okładki o różnych kolorach: *Piekło* na czerwono, *Czyściec* na żółto, a *Raj* na niebiesko. Dzieło, które tak mnie oczarowało na ziemi, tu nabrało zupełnie innego znaczenia.

* * *

Zamknąłem teczkę i, o wiele spokojniejszy, zacząłem się rozglądać dookoła. Dopiero teraz zauważyłem coś zaskakującego: uśmiech. Widziałem już, że Miguel i Consuelo się uśmiechali. Ale obok nich, tuż przy mnie, była też stara, przygarbiona Chinka. Była niska i stała w cieniu otaczających ją osób, które wydawały się od niej o wiele wyższe. Chociaż prawie mi ją zasłaniali, nie miałem wątpliwości, że się uśmiechała. Było to zadziwiające, gdyż prawie wszyscy pozostali, podobnie jak ja sam, mieli na twarzach wyraz powagi i zamyślenia. Ta staruszka różniła się od innych również tym, że nie miała przy sobie żadnego bagażu.

Obserwując dalej współtowarzyszy, dostrzegłem kolejną uśmiechniętą osobę. A zatem wśród dwudziestu pięciu dusz, które były w windzie, uśmiechały się tylko cztery: Miguel i dziewczynka, stara Chinka i młody człowiek wyglądający na Araba. I akurat one nie miały bagażu, jeśli nie liczyć dywanika niesionego na ramieniu przez młodzieńca. Cała czwórka wprost tchnęła spokojem i radością, jakiej brakowało na pozostałych twarzach. Dzięki temu i mnie udzielił się ich uśmiech.

W tym czasie dusze zaczęły już ze sobą rozmawiać. Kobieta stojąca obok mnie od kilku chwil głośno protestowała. Rozzłościło ją to, że w windzie jest duszno i nie ma gdzie usiąść.

– Czy my jesteśmy bydłętami? To skandal!

Po chwili ktoś z tyłu zapytał donośnym głosem:

– Ktoś wie, dokąd to coś jedzie?

Odpowiedziała mu cisza. Aż nagle ktoś zawołał:

– Bracia, chwalmy Pana!

To brat Miguel odezwał się ze swojego kącika.

– Insz'Allah! – odpowiedział Arab i dwóch pobożnych ludzi uśmiechnęło się do siebie ponad głowami pozostałych.

Postanowiłem porozmawiać z uśmiechniętą Chinką, która stała po mojej lewej stronie. Zauważyłem, że nie ma na czole żadnego krzyżyka czy ranki. Zapytałem, czy jest zadowolona. Odpowiedziała,

że tak, kiwając przy tym głową. Gdy chciałem wiedzieć dlaczego, odrzekła:

– Będę blisko mocy Nieba.

Kiedy to powiedziała, winda zatrzymała się ze zgrzytem i drzwi się otworzyły.